



## The Holy See

---

### **SPOTKANIE OJCA ŚWIĘTEGO BENEDYKTA XVI Z DUCHOWIEŃSTWEM DIECEZJI RZYMSKIEJ**

[[Video](#)]

*Eminencjo, drodzy Bracia w biskupstwie i kapłaństwie!*

Jest dla mnie szczególnym darem Opatrzności fakt, że zanim przestanę pełnić posługę Piotrową, mogę jeszcze zobaczyć moich księży, duchowieństwo Rzymu. Zawsze wielką radością napawa widok, że Kościół żyje, że Kościół w Rzymie jest żywy; są pasterze, którzy w duchu Najwyższego Pasterza prowadzą owczarnię Pana. Jest to duchowieństwo prawdziwie katolickie, powszechne. Odpowiada to istocie Kościoła rzymskiego: reprezentowanie powszechności, katolickości wszystkich narodów, wszystkich ras, wszystkich kultur. Jestem zarazem bardzo wdzięczny Kardynałowi Wikariuszowi, który pomaga w budzeniu, w wynajdywaniu powołań w samym Rzymie. Jeśli bowiem Rzym ma być, z jednej strony, miastem powszechności, to musi być także miastem mającym własną, mocną i utwierdzoną wiarę, z której rodzą się także powołania. I jestem przekonany, że z pomocą Pana możemy znaleźć powołania, które On sam nam daje, pokierować nimi, pomagać im w dojrzewaniu i w ten sposób służyć pracy w winnicy Pańskiej.

Dzisiaj przed grobem św. Piotra wyznaliście wiarę – *Credo*. Wydaje mi się to bardzo stosowne w *Roku Wiary*, być może niezbędne, aby duchowni Rzymu zgromadzili się przy grobie Apostoła, do którego Pan powiedział: „Tobie powierzam mój Kościół, na Tobie zbuduję mój Kościół” (por. *Mt 16, 18-19*). Wobec Pana, wraz z Piotrem, wyznaliście: „Ty jesteś Mesjasz, Syn Boga żywego” (por. *Mt 16, 15-16*). W ten sposób wzrasta Kościół: wraz z Piotrem wyznając Chrystusa, naśladując Chrystusa. Czyńmy to zawsze. Jestem bardzo wdzięczny za waszą modlitwę, którą odczuwałem – jak powiedziałem w środę – niemal fizycznie. Choć teraz się usuwam, to w modlitwie jestem zawsze blisko was wszystkich i jestem pewien, że również wy będziecie ze mną, choć dla świata pozostanę w ukryciu.

Na dzisiaj z uwagi na uwarunkowania wynikające z mojego wieku nie mogłem przygotować

wielkiego, prawdziwego przemówienia, jak można było oczekiwać. Myślę raczej o małej pogawędce na temat Soboru Watykańskiego II, tak jak ja go widziałem. Zacznę od anegdoty. W 1959 r. zostałem mianowany profesorem na uniwersytecie w Bonn, gdzie kształcą się studenci, seminarzyści z diecezji kolońskiej i innych okolicznych diecezji. W ten sposób nawiązałem kontakt z arcybiskupem Kolonii, kard. Fringsem. Kard. Siri z Genui – wydaje mi się, że w 1961 r. – zorganizował cykl konferencji różnych kardynałów europejskich na temat Soboru i zaprosił także arcybiskupa Kolonii, aby wygłosił wykład na temat: „Sobór i świat myśli nowoczesnej”.

Kardynał poprosił mnie – najmłodszego z profesorów – abym napisał mu projekt konferencji. Projekt spodobał mu się i zaproponował słuchaczom w Genui wykład w takiej formie, jak go napisałem. Wkrótce po tym papież Jan XXIII zawezwał go do siebie i kard. Frings był pełen obaw, że być może powiedział coś niewłaściwego, błędnego i został wezwany, by usłyszeć naganę, a może także zostanie pozbawiony purpury. Tak iż, kiedy jego sekretarz ubierał go na audiencję, kardynał powiedział: „Być może teraz po raz ostatni mam na sobie ten strój.” Po czym wszedł. Papież Jan XXIII wyszedł mu na spotkanie, objął i powiedział: „Dziękuję, Eminencjo. Powiedział Eminencja to, co ja zamierzałem powiedzieć, ale nie znajdowałem słów”. W ten sposób kard. Frings dowiedział się, że jest na dobrej drodze, i zaprosił mnie, abym wraz z nim udał się na Sobór, najpierw jako jego osobisty ekspert, a następnie, podczas pierwszego okresu – wydaje mi się, że w listopadzie 1962 r. – zostałem mianowany także oficjalnym ekspertem Soboru.

Tak więc pojechaliśmy na Sobór nie tylko z radością, ale i z entuzjazmem. Były ogromne oczekiwania. Mieliśmy nadzieję, że wszystko się odnowi, że nadejdzie naprawdę nowa Pięćdziesiątnica, nowa epoka Kościoła, gdyż Kościół był w tamtym czasie jeszcze dość silny, licznie jeszcze uczestniczono w niedzielnej Mszy św., liczba powołań do kapłaństwa i życia zakonnego już nieco zmalały, ale było ich jeszcze dostatecznie dużo. Jednakże wyczuwało się, że Kościół się nie rozwijał, kurczył się, że wydawał się raczej rzeczywistością z przeszłości, a nie zwiastunem przyszłości. W tamtym czasie mieliśmy nadzieję, że ta relacja się odnowi, zmieni; że Kościół na nowo stanie się siłą przyszłości i dnia dzisiejszego. Wiedzieliśmy, że relacja Kościoła z czasami nowożytnymi od samego początku była trochę konfliktowa, począwszy od błędu Kościoła w przypadku Galileusza. Sądzono, że naprawi się ten błędny początek i odnajdzie na nowo jedność między Kościołem a najlepszymi siłami świata, aby ludzkości otworzyć przyszłość, by zapoczątkować prawdziwy postęp. Tak więc byliśmy pełni nadziei, entuzjazmu, a także woli, by w tej sprawie odegrać właściwą nam rolę. Pamiętam, że za wzór negatywny uważany był Synod Rzymski. Mówiono – nie wiem, czy to prawda – że w bazylice św. Jana odczytano przygotowane teksty, a członkowie Synodu przyjęli je przez aklamację, zaaprobowali oklaskami, i tak odbył się Synod. Biskupi powiedzieli: Nie, nie będziemy tak robić. Jesteśmy biskupami, to my jesteśmy podmiotem Soboru. Nie chcemy jedynie aprobować tego, co zostało zrobione, ale chcemy sami być podmiotem, promotorami Soboru. Podobnie kard. Frings, znany ze swej absolutnej, niemal skrupulatnej wierności Ojcu Świętemu, w tym przypadku powiedział: tutaj nasza rola jest inna. Papież nas wezwał, abyśmy byli ojcami, abyśmy byli Soborem Powszechnym, podmiotem, który odnowi Kościół. A więc chcemy przyjąć naszą rolę.

Pierwszym momentem, w którym ujawniła się ta postawa, był już pierwszy dzień. Na ten pierwszy dzień przewidziane były wybory Komisji i zostały przygotowane w sposób możliwie bezstronny listy, nazwiska. Listy te miano przegłosować. Natychmiast jednak ojcowie powiedzieli: Nie, nie chcemy głosować na gotowe już listy. To my jesteśmy podmiotem Soboru. Trzeba więc było przesunąć wybory, gdyż ojcowie chcieli się lepiej wzajemnie poznać, sami chcieli przygotować listy. I tak się stało. Kard. Liénart z Lille i kard. Frings z Kolonii publicznie powiedzieli: Nie, tak nie można. Chcemy sporządzić własne listy i wybierać naszych kandydatów. Nie był to akt rewolucyjny, lecz akt sumienia, odpowiedzialności ze strony ojców soborowych.

W ten sposób rozpoczęło się intensywne zabieganie o to, aby się poznać nawzajem, co nie było przypadkowe. W „Collegio dell’Anima”, gdzie mieszkałem, mieliśmy wiele wizyt. Kardynał był bardzo znany, widzieliśmy kardynałów z całego świata. Dobrze pamiętam wysoką i szczupłą postać ówczesnego sekretarza Konferencji Episkopatu Francji, ks. prał. Etchegaraya, spotkania z kardynałami itd. Było to zresztą typowe dla całego Soboru: małe spotkania różnych środowisk. Poznałem w ten sposób wielkie postaci, takie jak o. de Lubaca, Daniélou, Congara itd. Poznaliśmy różnych biskupów. Szczególnie pamiętam biskupa Elchingera ze Strasburga itd. Było to już doświadczenie powszechności Kościoła i konkretnej rzeczywistości Kościoła, który nie otrzymuje po prostu nakazów z góry, ale razem rośnie i idzie naprzód, zawsze rzecz jasna pod przewodnictwem Następcy Piotra.

Wszyscy, jak już powiedziałem, przybywali z wielkimi oczekiwaniami. Nigdy nie było Soboru o takich rozmiarach, ale nie wszyscy wiedzieli, co czynić. Najlepiej przygotowane, powiedzmy, tymi, które miały najbardziej wykrystalizowane idee, były episkopaty francuski, niemiecki, belgijski i holenderski – tzw. „przymierze nadreńskie”. W pierwszej części Soboru to one wskazywały drogę. Później szybko poszerzyła się aktywność wszystkich i wszyscy coraz bardziej uczestniczyli w twórczej pracy Soboru. Francuzi i Niemcy mieli wiele wspólnych zainteresowań, chociaż różnili się znacznie w pewnych aspektach. Pierwszym, początkowym, prostym – pozornie prostym – zamiarem było zreformowanie liturgii, co zapoczątkował już Pius XII, dokonując reformy liturgii Wielkiego Tygodnia. Drugą kwestią była eklezjologia, trzecią – Słowo Boże, Objawienie, i wreszcie – także ekumenizm. Francuzi, znacznie bardziej niż Niemcy, pragnęli podjąć problem relacji między Kościołem a światem.

Zacznijmy od pierwszej kwestii. Po pierwszej wojnie światowej rozwinął się właśnie w Europie Środkowej i Zachodniej ruch liturgiczny, odkryto na nowo bogactwo i głębię liturgii, która była dotąd niemal zamknięta w Mszałe rzymskim kapłana. Ludzie natomiast modlili się ze swoich książeczek do modlitwy, redagowanych zgodnie z potrzebami ludzkiego serca. Tak więc starano się przełożyć wzniosłą treść, wzniosły język liturgii klasycznej na słowa o większym ładunku emocji, bliższe ludzkim sercom. W ten sposób istniały jakby dwie paralelne liturgie: celebrans z ministrantami sprawował Mszę św. według Mszału, a świeccy, modlili się w czasie Mszy św. wspólnie z książeczek do nabożeństwa, zdając sobie zasadniczo sprawę z tego, co dokonywało się na ołtarzu. A oto odkryto na nowo piękno, głębię, historyczne bogactwo ludzkie, duchowe

Mszалу i konieczność, aby nie tylko przedstawiciel ludu, mały chłopiec przy ołtarzu, mówił: „*Et cum spiritu Tuo*” itd., ale aby był to naprawdę dialog między kapłanem a ludem, aby naprawdę liturgia ołtarza i liturgia ludu stały się jedną liturgią, aktywnym uczestnictwem, aby bogactwa docierały do ludu. Tak więc liturgia została ponownie odkryta, odnowiona.

Spoglądając z perspektywy lat, uważam, że bardzo dobrze się stało, że rozpoczęto od liturgii. W ten sposób ukazuje się prymat Boga, prymat adoracji. „*Operi Dei nihil praeponatur*” – te słowa Reguły św. Benedykta (por. 43, 3) jawią się w ten sposób jako najwyższa reguła Soboru. Niektórzy krytykowali, że Sobór mówił o wielu sprawach, ale nie o Bogu. Przeciwnie, mówił o Bogu! Jego pierwszym aktem, tym zasadniczym było mówienie o Bogu i otwarcie wszystkich, całego ludu świętego na adorację Boga we wspólnej celebracji liturgii Ciała i Krwi Chrystusa. W tym sensie niezależnie od czynników praktycznych, które odradzały rozpoczynanie od razu od kwestii kontrowersyjnych, był to, powiedzmy, rzeczywiście akt Opatrzności, że na początku Soboru podjęto kwestię liturgii, to znaczy Boga, adoracji. Nie chcę teraz wchodzić w szczegóły dyskusji, ale zawsze warto powracać nie tylko do praktycznej realizacji, ale do samego Soboru, do jego głębi i jego zasadniczych idei.

Były wśród nich bardzo różne: zwłaszcza misterium paschalne jako centrum bycia chrześcijaninem, a więc i życia chrześcijańskiego, roku, czasu chrześcijańskiego, wyrażającego się w okresie wielkanocnym i w niedzieli, która jest zawsze dniem zmartwychwstania. Nieustannie na nowo rozpoczynamy nasz czas od zmartwychwstania Pańskiego, od spotkania ze Zmartwychwstałym, a od spotkania ze Zmartwychwstałym idziemy do świata. W tym sensie szkoda, że dzisiaj niedziela została przekształcona w weekend, podczas gdy jest ona pierwszym dniem, początkiem. W duchu musimy pamiętać, że jest to początek, początek stworzenia, że jest to początek stwarzania na nowo w Kościele, spotkanie ze Stwórcą i zmartwychwstałym Chrystusem. Także ta podwójna treść niedzieli jest ważna. Jest ona pierwszym dniem, to znaczy świętem stworzenia, ponieważ jesteśmy przekonani, że świat został stworzony, wierzymy w Boga Stwórcę. Jest też spotkaniem ze Zmartwychwstałym, który odnawia stworzenie. Jej prawdziwym celem jest tworzenie świata, będącego odpowiedzią na miłość Boga.

Były też zasady: zrozumiałości, a nie zamknięcia w nieznanym, nie używanym języku, jak również aktywnego udziału. Niestety, zasady te były także źle pojmowane. Zrozumiałość nie oznacza banalności, gdyż wielkie teksty liturgii – nawet jeśli wypowiedane są, Bogu dzięki, w językach ojczystych – niełatwo zrozumieć. Wymagają ustawicznego kształcenia chrześcijanina, aby wzrastał i coraz bardziej wchodził w głębię tajemnicy i dzięki temu mógł zrozumieć. Także Słowo Boże – jeśli pomyśleć dzień po dniu o czytaniach ze Starego Testamentu, z Listów św. Pawła, Ewangelii: któż może powiedzieć, że od razu je rozumie, jedynie dlatego, że są one w języku ojczystym? Tylko stała formacja serca i umysłu może faktycznie spowodować zrozumienie i uczestnictwo, które jest czymś więcej niż tylko działaniem zewnętrznym – które jest wejściem osoby, mojego ja w komunię Kościoła, a tym samym w komunię z Chrystusem.

Drugi temat: Kościół. Wiemy, że Sobór Watykański I został przerwany z powodu wojny francusko-niemieckiej i tym samym pozostał z pewną jednostronnością, fragmentaryczny, gdyż jego nauczanie na temat prymatu, które zostało sformułowane – dzięki Bogu – w owej historycznej dla Kościoła chwili i które było bardzo potrzebne na późniejszy czas, było tylko jednym elementem szerszej eklezjologii, przewidzianej, przygotowywanej. I tak pozostał fragment. Można więc było powiedzieć: skoro fragment pozostaje taki, jaki jest, to jesteśmy skłonni do pewnej jednostronności: Kościół byłby tylko prymatem. A zatem od początku był zamiar uzupełnienia w sposobnej chwili eklezjologii Soboru Watykańskiego I, tak aby była ona kompletna. Także w tym względzie warunki zdawały się bardzo dobre, gdyż po pierwszej wojnie światowej odrodziło się poczucie Kościoła pojmowanego w nowy sposób. Romano Guardini powiedział: „W duszach zaczyna budzić się Kościół”, a pewien biskup protestancki mówił o „wieku Kościoła”. Przed wszystkim odkrywano na nowo pojęcie przewidziane już przez *Vaticanum I* – Mistycznego Ciała Chrystusa. Chciano powiedzieć i zrozumieć, że Kościół nie jest organizacją, rzeczywistością strukturalną, prawną czy instytucjonalną – tym jest także – ale jest organizmem, żyjącą rzeczywistością, która przenika w moją duszę, tak że ja sam, właśnie z moją wierzącą duszą, jestem elementem tworzącym Kościół jako taki. W tym duchu Pius XII napisał encyklikę *Mystici Corporis Christi* – będącą jakby krokiem ku dopełnieniu eklezjologii *Vaticanum I*.

Powiedziałbym, że dyskusja teologiczna lat trzydziestych-czterdziestych, a nawet dwudziestych przebiegała pod znakiem słów *Mystici Corporis*. Było to odkrycie, które wywołało wielką radość w owym czasie, i również w tym kontekście powstało sformułowanie: „My jesteśmy Kościołem”, albowiem Kościół nie jest strukturą; to my sami, chrześcijanie, razem jesteśmy wszyscy żywym ciałem Kościoła. Oczywiście należy to rozumieć w takim sensie, że my, prawdziwe „my” wierzących razem z „Ja” Chrystusa jesteśmy Kościołem, każdy z nas; nie „jakieś my”, jakaś grupa, która ogłasza się Kościołem. Nie: to „my jesteśmy Kościołem” wymaga właśnie mojego włączenia się w wielkie „my” wierzących wszystkich czasów i miejsc. Tak więc pierwszą ideą było dopełnienie eklezjologii w sensie teologicznym, ale następnie także pod względem strukturalnym: to znaczy obok następcy Piotra, jego wyjątkowej funkcji, trzeba było też lepiej określić funkcję biskupów, episkopatu. Aby to uczynić, wynaleziono słowo „kolegialność”, wywołujące wiele dyskusji, zażartych dyskusji, powiedziałbym, że nawet trochę przesadnych. Ale było to słowo – może dałoby się znaleźć inne, ale posłużono się tym, by wyrazić, że biskupi wszyscy razem są kontynuacją Dwunastu, kolegium apostołów. Powiedzieliśmy: tylko jeden biskup – biskup Rzymu – jest następcą określonego apostoła, Piotra. Wszyscy pozostali stają się następcami apostołów, wchodząc w ciało, które stanowi kontynuację ciała apostołów. I tak właśnie ciało biskupów, kolegium, jest kontynuacją ciała Dwunastu, i w ten sposób jest niezbędne, ma swoją funkcję, swoje prawa i obowiązki. Wielu wydawało się to jakby walką o władzę i być może niektórzy myśleli o władzy, ale zasadniczo nie chodziło o władzę, lecz o uzupełnianie się elementów i o dopełnienie ciała Kościoła biskupami, następcami apostołów, jako elementami nośnymi. Każdy z nich jest elementem nośnym Kościoła wraz z tym wielkim Ciałem.

Były to, można powiedzieć, dwa elementy podstawowe, a tymczasem, gdy szukano pełnej

teologicznej wizji eklezjologii, po latach czterdziestych, w latach pięćdziesiątych, zrodziła się już pewna krytyka co do koncepcji Ciała Chrystusa: „mistyczne” byłoby nazbyt duchowe, zbyt ekskluzywne. Zaryzykowano wobec tego koncepcję „ludu Bożego”. I Sobór słusznie przyjął ten element, który ojcowie uważali za wyraz ciągłości między Starym a Nowym Testamentem. W tekście Nowego Testamentu słowa „*Laos tou Theou*”, odpowiadające tekstom Starego Testamentu, oznaczają – wydaje mi się, z dwoma tylko wyjątkami – starożytny lud Boga, Żydów, którzy pośród ludów, „*goim*”, świata są „właściwym” ludem Bożym. A inni, my poganie nie jesteśmy sami z siebie ludem Bożym, ale stajemy się synami Abrahama, a zatem ludem Bożym, wchodząc w komunię z Chrystusem, będącym jedynym potomstwem Abrahama. A wchodząc w komunię z Nim, będąc z Nim jedno, także i my jesteśmy ludem Bożym. Tak więc koncepcja „ludu Bożego” zakłada ciągłość Testamentów, ciągłość historii Boga ze światem, z ludźmi, ale zakłada również element chrystologiczny. Tylko przez chrystologię stajemy się ludem Bożym, i w ten sposób łączą się obie te koncepcje. Sobór postanowił stworzyć trynitarną konstrukcję eklezjologii: lud Boga Ojca, Ciało Chrystusa, Świątynia Ducha Świętego.

Ale dopiero po Soborze ukazano element, który był nieco ukryty, także w czasie Soboru, a mianowicie, że powiązaniem między ludem Bożym i Ciałem Chrystusa jest właśnie komunika z Chrystusem w zjednoczeniu eucharystycznym. W nim stajemy się Ciałem Chrystusa, a zatem relacja między ludem Bożym a Ciałem Chrystusa tworzy nową rzeczywistość – komunię. Po Soborze odkryto, powiedziałbym, że Sobór w istocie wynalazł tę koncepcję, prowadził do niej: komunika jako pojęcie centralne. Powiedziałbym, że filologicznie na Soborze pojęcie to nie było jeszcze całkowicie dojrzałe, ale jest owocem Soboru, że pojęcie komunii stawało się coraz bardziej wyrażeniem istoty Kościoła – komunii w różnych wymiarach: komunii z Bogiem w Trójcy Świętej, który sam jest komunią Ojca, Syna i Ducha Świętego, komunii sakramentalnej, komunii konkretnej w episkopacie i w życiu Kościoła.

Jeszcze bardziej konfliktowy był problem Objawienia. Chodziło tutaj o relację między Pismem Świętym a Tradycją. Egzegetom chodziło przede wszystkim o większą wolność. Mieli oni, powiedzmy, poczucie niższości wobec protestantów, którzy dokonywali wielkich odkryć, podczas gdy katolicy czuli się trochę „upośledzeni” z powodu konieczności podporządkowania się Magisterium. W grę wchodziła tutaj zatem bardzo konkretna walka o to, ile wolności mają egzegeci? Jak dobrze odczytywać Pismo Święte? Co to znaczy Tradycja? Była to walka wielowymiarowa, której teraz nie mogę przedstawić, ale niewątpliwie ważne jest to, że Pismo Święte jest Słowem Bożym, Kościół podlega Pismu Świętemu, jest posłuszny Słowu Bożemu, a nie stoi ponad Pismem. Jednakże Pismo jest Pismem tylko dlatego, że istnieje żywy Kościół, jego żywy podmiot: bez żywego podmiotu Kościoła Pismo Święte jest jedynie księgą i umożliwia, otwiera się na różne interpretacje, nie dając ostatecznej jasności.

W tym względzie – jak powiedziałem – walka była trudna i decydujące znaczenie miała interwencja papieża Pawła VI. Ukazała ona całą delikatność ojca, jego odpowiedzialność za przebieg Soboru, ale także jego wielki szacunek do Soboru. Zrodziła się idea, jakoby Pismo

Święte było kompletne – jest w nim wszystko, a więc nie jest potrzebna Tradycja, a zatem i Urząd Nauczycielski nie ma nic do powiedzenia. Wówczas papież przekazał Soborowi, jak mi się wydaje, 14 formuł jednego zdania, które należało włączyć w tekst o Objawieniu, i dał nam, dał ojcom możliwość swobodnego wyboru jednego spośród 14 sformułowań, ale powiedział: jedno z nich trzeba wybrać, aby tekst był pełny. Zapamiętałem mniej więcej jedno ze sformułowań: „*non omnis certitudo de veritatibus fidei potest sumi ex Sacra Scriptura*” – czyli pewność Kościoła odnośnie do wiary nie rodzi się tylko z jednej odizolowanej księgi, ale wymaga podmiotu Kościoła, oświeconego, prowadzonego przez Ducha Świętego. Tylko w ten sposób Pismo Święte przemawia i ma cały swój autorytet. To zdanie, które wybraliśmy w komisji doktrynalnej, jedno z 14 sformułowań, ma decydujące znaczenie, powiedziałbym, aby ukazać niezbędną, konieczność Kościoła i tym samym zrozumieć, co znaczy Tradycja, żywe ciało, w którym od początku żyje to Słowo i od którego otrzymuje ono swe światło, w którym się zrodziło. Już sama sprawa kanonu jest faktem eklezjalnym: to, że te teksty są Pismem Świętym, wynika z natchnienia Kościoła, który znalazł w sobie ten kanon Pisma Świętego. Znalazł, a nie stworzył. Zawsze i tylko w tej komunii żywego Kościoła można także naprawdę zrozumieć, odczytywać Pismo jako Słowo Boże, jako Słowo, które prowadzi nas w życiu i w śmierci.

Jak już mówiłem, był to dość trudny spór, ale dzięki Papieżowi i – powiedzmy – dzięki światłu Ducha Świętego, który był obecny podczas Soboru, powstał dokument, który jest jednym z najpiękniejszych, a także najbardziej innowacyjnych dokumentów całego Soboru i który należy bardzo jeszcze studiować, gdyż również dzisiaj egzegeza próbuje odczytywać Pismo Święte poza Kościołem, poza wiarą, jedynie w tzw. duchu metody historyczno-krytycznej, metody ważnej, ale nie na tyle ważnej, by mogła podsunąć rozwiązania dające ostateczną pewność. Tylko jeśli wierzymy, że nie są to słowa wyłącznie ludzkie, ale słowa Boga i tylko jeśli żyje żywy podmiot, do którego mówił i mówi Bóg, możemy dobrze interpretować Pismo Święte. I tutaj, jak powiedziałem w przedmowie do mojej książki o Jezusie (por. tom I) jest jeszcze wiele do zrobienia, aby Pismo Święte zostało odczytane prawdziwie w duchu Soboru. Tutaj wprowadzenie w życie Soboru ciągle jeszcze nie jest pełne, ciągle jeszcze jest wiele do zrobienia.

Wreszcie ekumenizm. Nie chciałbym tu wchodzić w te problemy, ale było oczywiste – szczególnie po „męce” chrześcijan w okresie narodowego socjalizmu – że chrześcijanie mogą odnaleźć jedność, przynajmniej dążyć do jedności, ale było też jasne, że tylko Bóg może dać jedność. Jesteśmy wciąż na tej drodze. W tych kwestiach „przymierze nadreńskie”, jeśli tak można powiedzieć, zrobiło swoje.

Druga część Soboru jest znacznie bardziej obszerna. Bardzo pilny wydawał się temat: świat współczesny, epoka nowoczesna a Kościół, a wraz z nim kwestie odpowiedzialności za budowanie tego świata, społeczeństwa, odpowiedzialności za przyszłość tego świata i nadziei eschatologicznej, odpowiedzialności etycznej chrześcijanina, i gdzie znajduje on wskazania, następnie wolności religijnej, postępu i relacji z innymi religiami. Wówczas w dyskusję włączyły się wszystkie grupy Soboru – nie tylko Ameryka, Stany Zjednoczone, które żywo interesowała kwestia

wolności religijnej. Podczas trzeciej sesji powiedzieli oni papieżowi: Nie możemy wrócić do domu bez dorobku uchwalonej przez Sobór deklaracji o wolności religijnej. Papież jednak stanowczo, zdecydowanie i cierpliwie dążył do tego, by przedstawić tekst na czwartej sesji, aby kwestia dojrzała i by osiągnąć w miarę pełny konsensus ojców soborowych. Mogę powiedzieć, że nie tylko Amerykanie z wielką siłą włączyli się w prace Soboru, lecz także przedstawiciele Ameryki Łacińskiej, którzy dobrze znali nędzę ludu, katolickiego kontynentu, oraz odpowiedzialność wiary za sytuację tych ludzi. Także Afryka, Azja widziały potrzebę dialogu międzyreligijnego. Muszę przyznać, że uwydatniły się problemy, których my, Niemcy na początku, nie widzieliśmy. Nie mogę teraz tego wszystkiego opisać. Wielki dokument *Gaudium et spes* bardzo dobrze przeanalizował problem relacji między chrześcijańską eschatologią a doczesnym postępowaniem, między odpowiedzialnością za społeczeństwo jutra a odpowiedzialnością chrześcijanina wobec wieczności i w ten sposób odnowił również etykę chrześcijańską, podstawy. Ale, powiedzmy nieoczekiwanie, powstał obok tego wielkiego dokumentu inny, odpowiadający w sposób bardziej syntetyczny i konkretny na wyzwania czasu, a mianowicie *Nostra aetate*. Od początku byli z nami nasi żydowscy przyjaciele, którzy powiedzieli, zwłaszcza nam, Niemcom, ale nie tylko nam, że po smutnych wydarzeniach tego nazistowskiego wieku, dekady nazistowskiej, Kościół katolicki musi powiedzieć coś o Starym Testamencie, o narodzie żydowskim. Mówili, że choć jest oczywiste, iż Kościół nie jest odpowiedzialny za *Szoah*, to ci, którzy popełnili te zbrodnie, byli w większości chrześcijanami. Musimy więc pogłębić i odnowić sumienie chrześcijańskie, nawet jeśli dobrze wiemy, że prawdziwi wierzący zawsze przeciwstawiali się tym rzeczom. W ten sposób stało się jasne, że przedmiotem refleksji powinna być relacja do świata starożytnego ludu Bożego. Zrozumiałe też, że biskupi z krajów arabskich nie byli z tego zadowoleni. Obawiali się trochę gloryfikacji państwa Izrael, czego naturalnie nie chcieli. Powiedzieli: cóż, naprawdę teologiczna wskazówka odnośnie do narodu żydowskiego jest dobra, konieczna, ale jeśli mówicie o tym, to trzeba też mówić o islamie, tylko w ten sposób zachowamy równowagę. Islam również jest wielkim wyzwaniem i Kościół powinien wyjaśnić swoją relację z islamem. Tej rzeczy my w tym czasie nie bardzo rozumieliśmy, trochę tak, lecz nie bardzo. Dziś wiemy, jakie to było konieczne.

Kiedy zaczęliśmy pracować także nad islamem, powiedziano nam: Ale są też inne religie świata: cała Azja! Pomyślcie o buddyzmie, hinduizmie... I tak, zamiast deklaracji, która pierwotnie miała dotyczyć tylko starożytnego ludu Bożego, powstał tekst o dialogu międzyreligijnym, wyprzedzając to, co trzydzieści lat później stało się jasne z całą swą mocą i znaczeniem. Nie mogę teraz rozwinąć tego tematu, ale kiedy czyta się tekst, widać, że jest bardzo treściwy oraz przygotowany przez ludzi, którzy naprawdę znali realia i zwięźle wskazuje, w kilku słowach, to, co najistotniejsze, a więc także podstawę dialogu, z zachowaniem różnic, różnorodności, w wierze w wyjątkowość Chrystusa, który jest jeden. Człowiek wierzący nie może myśleć, że wszystkie religie są wariacjami na ten sam temat. Nie, istnieje rzeczywistość Boga żywego, który przemówił i jest *jeden* Bóg, *jeden* Bóg wcielony, a więc *jedno* Słowo Boże, które jest naprawdę Słowem Boga. Ale istnieje doświadczenie religijne zawierające pewne ludzkie światło stworzenia. Tak więc konieczne jest i możliwe nawiązanie dialogu, a tym samym otwarcie się na drugiego i otwarcie wszystkich na Boży pokój, wszystkich Jego dzieci i całej Jego rodziny.



Tak więc, te dwa dokumenty, o wolności religijnej i *Nostra aetate*, w połączeniu z „*Gaudium et spes*” są bardzo ważną trylogią, której znaczenie stało się jasne dopiero po dziesiątkach lat i wciąż jeszcze staramy się lepiej zrozumieć to wszystko razem: całkowitą wyjątkowość Bożego Objawienia, wyjątkowość jedyne Boga wcielonego w Chrystusie razem z wielością religii, poprzez które poszukujemy pokoju, także sercem otwartym na światło Ducha Świętego, który oświeca i prowadzi do Chrystusa.

Chciałbym teraz dodać jeszcze trzecią kwestię: był Sobór ojców, prawdziwy Sobór, ale był też Sobór *mediów*. Był to niemal osobny Sobór, a świat przez nie postrzegał Sobór, przez środki przekazu. Tak więc tym Soborem, który skutecznie docierał do ludzi był Sobór *mediów*, a nie Sobór ojców. Podczas gdy Sobór ojców urzeczywistniał się w obrębie wiary, był Soborem wiary poszukującej *intellectus*, zrozumienia siebie i zrozumienia Bożych znaków w danej chwili, który usiłował odpowiedzieć na wyzwanie Boga w danej chwili i znaleźć w Słowie Bożym słowa na dziś i jutro, podczas gdy cały Sobór – jak powiedziałem – toczył się wokół wiary jako *fides quaerens intellectum*, to Sobór dziennikarzy nie odbywał się rzecz jasna na gruncie wiary, lecz w kategoriach współczesnych *mediów*, to znaczy poza wiarą, miał inną hermeneutykę. Była to hermeneutyka polityczna: dla mediów Sobór był walką polityczną, walką o władzę między różnymi prądami w Kościele. Oczywiście *media* popierały tę stronę, która w ich oczach lepiej odpowiadała ich światu. Byli tacy, którzy dążyli do decentralizacji Kościoła, do przekazania władzy biskupom, a następnie przez słowo „lud Boży”, do przekazania władzy laikatowi. Była to trojaka kwestia: władza papieża przekazana następnie biskupom, i wreszcie wszystkim, powszechna władza ludu. Rzecz jasna oni domagali się, by to właśnie aprobować, promulgować, ułatwiać. Podobnie w odniesieniu do liturgii. Nie interesowała ich liturgia jako akt wiary, ale jako coś, gdzie robi się rzeczy zrozumiałe, jakieś działanie wspólnoty, pewne *profanum*. Wiemy, że istniała też tendencja, powołująca się również na historię, do tego, by mówić, iż *sacrum* to rzecz pogańska, ewentualnie należąca do Starego Testamentu. W Nowym Testamencie liczy się jedynie to, że Chrystus umarł *poza tym*: to znaczy za bramami, to znaczy w świecie pogańskim. Z sakralnością należało więc skończyć, a kult miał należeć do *profanum*: nie jest on kultem, ale aktem zbiorowości, wspólnego uczestnictwa, a w ten sposób także uczestnictwem jako działaniem. Takie tłumaczenia, banalizacje idei Soboru miały korodujący wpływ na wprowadzanie w życie reformy liturgicznej. Zrodziły się one z wizji Soboru poza jego kluczem, poza wiarą. Podobnie w kwestii Pisma Świętego: Pismo Święte jest księgą, historyczną, którą należy traktować tylko i wyłącznie w kategoriach historycznych, i tak dalej.

Wiemy, że ten Sobór *mediów* docierał do wszystkich. Był on więc dominujący, bardziej skuteczny i spowodował tak wiele dramatów, problemów, rzeczywistych nieszczęść: zamknięte seminaria, zamknięte klasztory, banalizację liturgii..., a prawdziwy Sobór napotykał trudności, aby nabrać konkretnego kształtu, aby się urzeczywistnić. Sobór wirtualny był silniejszy niż Sobór realny. Lecz prawdziwa siła Soboru była obecna i powoli coraz bardziej się urzeczywistnia, stając się prawdziwą siłą, która jest prawdziwą reformą, odnową Kościoła. Wydaje mi się, że 50 lat po Soborze widzimy jak ten Sobór wirtualny kruszy się, ustępuje, a jawi się prawdziwy Sobór, z całą

swoją siłą duchową. Naszym zadaniem, właśnie w tym *Roku Wiary*, poczynając od *Roku Wiary*, jest zabieganie o to, aby prawdziwy Sobór, ze swoją mocą Ducha Świętego, się urzeczywistniał i by prawdziwie odnowił się Kościół. Ufajmy, że Pan nam pomoże. Ja, kiedy odejdę, moją modlitwą będę z wami zawsze i razem będziemy szli naprzód z Panem, mając pewność: Pan zwycięży!  
Dziękuję!